



Zobaczyć Kafkę

TADEUSZ SŁAWEK

1. Zajmowanie się Kafką należy do zadań arcywymagających. Najpierw należałoby Kafkę znaleźć i zobaczyć. Ale Kafka nie jest łatwym trofeum. Wyruszając na jego poszukiwanie, najprawdopodobniej wrócimy z niczym, będziemy musieli, „zatoczywszy krąg, powrócić na swoje poprzednie miejsce”. Kafka jest bowiem głębokim, przejmującym niepokojem, który nosimy w sobie. Najczęściej skrywamy go i maskujemy, nie przyznając się do niego, lecz nadchodzi czas, a jest on zawsze nieprzewidywalny, kiedy niepokój ów bierze górę, nagle objawia się, *nachodzi* mnie, odzywa się donośnym głosem kogoś, kto zawsze we mnie zamieszkiwał jako cichy sublokator, a wtedy: „Zrywam się z fotela, biegam wokół stołu, poruszam głową i szyją, rozpalam płomień w oczach, napinam mięśnie” (OP, 108).

2. Nie jest więc łatwo znaleźć i zobaczyć Kafkę. Lektura przywołanej opowieści mogłaby sugerować, że biegający powróci na swoje miejsce, ale przestrzeń, w której żyje Kafka, jest nieskończenie rozciągnięta i labiryntowa, więc powrót wcale nie jest nieuchronny. Podobnie jak niemożliwy do osiągnięcia jest punkt docelowy. Wszak świat jest „nie-dużą”, lecz „szaloną, zygzakowaną fortyfikacją z korytarzy”, w dodatku nieustannie przebudowywaną w przeczuciu nadchodzącej „napaści”. To w opowieści *Jama* (OP, 586), geometra K. brnie przez głęboki śnieg we wsi, gdzie „śnieg sięgał aż do okien chałup i tuż nad oknami zwiślał ciężko z niskich dachów”. Przestrzeń człowieka zamyka się wokół niego, osacza i zmusza do najwyższego wysiłku, którego powodzenie jest nad wyraz wątpliwe. Swobodniejszy ruch zdaje się możliwy jedynie poza sferą ludzkiej kondycji: „Tam na górze natomiast wszystko wznosiło się swobodnie i lekko, tak przynajmniej stąd wyglądało”. Ale tam, „na górę”, jak uczy lektura *Zamku*, nie mamy dostępu. To nie lkar jest emblematem ludzkiej kondycji, lecz przykuty do ziemi Anteusz – ziemia jest jego miłością i karą: bez niej jest bezsilny, z nią nabiera siły, która na nic się nie przydaje. Kilkakrotnie wyznaje Milenie Jesenskiej, że jest „ciężki”, w jednym przypadku objaśniając to następująco: „Jest to może ‘ciężkość’ okrętu, który zgubił swój ster i powiada do fal: ‘Dla siebie jestem za ciężki, dla was za lekki’”.

3. Nie jest więc łatwo znaleźć i zobaczyć Kafkę. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku. Klaustrofobii coraz bardziej ścieśniającego się [„nie ma tu zbyt wiele miejsca, najlepiej więc będzie, gdy pan usiądzie na brzegu łóżka” – mówi sekretarz do geometry K. (Z, 310)] i martwiejącego w swym ciężarze świata towarzyszy poczucie zmagania się z niezrozumiałymi i niewytłumaczalnymi przeszkodami. Gdy sekretarz Bürgel mówi, że K. nie powinien poddawać się rozczarowaniu, wyjaśni, że „niejedna rzecz wydaje się tu być specjalnie na to nastawiona, aby odstraszyć, i kiedy ktoś pierwszy raz tu przybywa, przeszkody wydają mu się nie do przebycia” (Z, 313). Owo „tu” niesie wielki ciężar:

kto się rodzi, wkraczając, a raczej wkrzykując się w *to-co-po-tej-stronie*, ten bierze na siebie wielki ciężar, być może nie do uniesienia.

4. Nie jest więc łatwo znaleźć i zobaczyć Kafkę. Bowiem gdy zdaje się nam, że już go dostrzegamy, właśnie to nasze podchodzenie (*podejść* Kafkę to zadanie dla wytrawnego tropiciela), podejrzenie, że mógłby zostać dostrzeżony, jest sygnałem do ucieczki. Czujność właściwa zwierzyńie jest charakterystycznym znakiem Kafki. „W gruncie rzeczy byłem tylko zwierzęciem, należałem do lasu”, wyzna Milenie (LM, 217). Jest jak „synagogalne zwierzę”, które nawet w obliczu majestatu Transcendencji (wszak siaduje „tuż obok Arki”) „bladymi, zawsze otwartymi, pozbawionymi powiek oczami (...) wypatruje niebezpieczeństw, przez które czuje się zagrożone”. Kafka jest zawsze gotów do ucieczki przed swymi tropicielami, których wyczuwa na odległość. Jak napisze, „Gdy robi się nieznośnie” – a zapytajmy od siebie, czy w ogóle możliwe jest „znośne bycie” – Kafka biegnie w swym pokoju „po wąskim dywanie jak po torze wyścigowym”, a dalej zmienia „kierunek, znajdując w głębi lustra jakiś nowy cel”, krzyżąc przy tym krzykiem, który dobrze znamy z obrazu Edwarda Muncha. To „krzyk, któremu nic nie wtóruje i któremu nic nie odbiera siły krzyczenia, który zarazem wznosi się bez przeciwwagi i nie może przestać, nawet jeśli zamilknie” (PU, 82).

5. Wiedział o tych trudnościach łotewski poeta Władimir Jermołajew, który usilnie pragnął dotrzeć do Kafki („dobrze by było napisać wiersz / trzynaście sposobów żeby zobaczyć kafkę [sic!]”), ale musiał ustąpić przed zadaniem nad siły. Aby zobaczyć Kafkę, trzeba by stanąć w punkcie znajdującym się ponad wszelkim bytem, spojrzeć „z punktu widzenia absolutu”, „z punktu widzenia wieczności”, ale przecież punkt taki jest dla śmiertelnika nieosiągalny. Nawet instytucje, które powinny przecież dobrze znać miejsce pobytu Kafki, gubią tropy, mylą nazwiska tak, iż to, co dochodzi do adresata, jest, być może, przeznaczone dla kogoś całkiem innego. Skarżąc się na brak listów od Felicji („jak bardzo ja potrzebuję Twoich listów”), pisarz przyznaje, że dotarł do niego jej telegram, ale czy to istotnie wiadomość dla niego, i czy faktycznie od niej? Szybko zanotuje: „Ale może nie jest on przeznaczony dla mnie. Zamiast >>Kafka<< jest tam napisane >>Kafta<<, a zamiast >>Felice<< – >>pliol<<. Ale mimo to jest piękny (...)”.

6. Kim więc jest Kafka? Na zdjęciu z Felice Bauer, zrozbionym w 1917 roku, spogląda na nas trzydziestoczteroletni mężczyzna w eleganckim sportowym garniturze. Felice patrzy wprost na nas, jakby nie bała się tego wszystkiego, z czym będzie musiała się zmierzyć, gdy tylko fotograf skończy swą pracę. Spojrzenie Kafki jest trudne do opisanego: nie unika widza, ale też nie patrzy wprost na niego. To oczy istoty gotowej do ucieczki, zachowującej czujność wobec

► wszystkiego, co dokoła. Ledwie dostrzegalny uśmiech, może tylko podejrzenie uśmiechu, świadczy o dystansie do otoczenia: jakkolwiek imponujące owo otoczenie by było, w istocie kryje w sobie pustkę. Jest wydrążone w środku, jak monumentalny gmach Praskiego Zakładu Ubezpieczeń Robotników od Wypadków przy Pracy, w którym na czwartym piętrze Franz Kafka sumiennie przez czternaście lat wypełniał obowiązki urzędnika. Spojrzenie człowieka na fotografii przekonuje, że wie on, iż ta kancelaria jest „tylko cuchnącą fabryką gęstego dymu, gdzie nie ma poczucia szczęścia”, miejscem, w którym człowiek czuje się jak „skazaniec” i powinien „zamknąć się w zupełnym milczeniu”.

7. Kim więc jest Kafka? Człowiekiem, którego oczy widzą „zalew zła”, tym większego, im bardziej narasta poczucie własnej bezradności. Pisarz wyzna Milenie Jesenskiej, iż nie może znieść „łęku, na który” – pisze – „jestem zbyt

słaby, ja tego ogromu nawet wzrokiem ogarnąć nie mogę, zalewa mnie”. W oczach Kafki odbija się jeszcze niewidoczny lub słabo tylko widoczny niszczycielski żywioł. „To potop. Wojna otwarła śluzy chaosu. Walą się zewnętrzne konstrukcje wspierające ludzką egzystencję. Teraz historii nie dźwiga już jednostka, lecz masy. Jesteśmy popychani, tłamszeni, wymiatani”. Uśmiech, już tylko mniej niż cień uśmiechu, wyraża zgodę na to, co nieuchronne. Spojrzenie Kafki jest polityczne: jest spojrzeniem człowieka, który nie widzi dla siebie zajęcia poza literaturą, gdzie szuka się miejsca dla autonomicznej, żywej egzystencji, a jednocześnie dokoła dostrzega tylko płataninę korytarzy (jak w *Procesie*), czy długie rzędy pokoi kancelistów (jak w *Zamku*) – architektoniczne znaczki martwych procedur, w których jednostka nie może odnaleźć siebie.

Kim więc jest Kafka?

TADEUSZ SŁAWEK
Uniwersytet Śląski

PS (od redakcji): 19 czerwca minęło sto lat od śmierci Franza Kafki.

Kto dziś czyta książki?

Zawsze z radością czytam teksty Magdaleny Bajer, bo sprawiają mi przyjemność nienaganną polszczyzną i na ogół zgadzam się z ich treścią. Jednak Jej felieton z „PAUzy” nr 685 zawiera uwagi, które wzbudziły we mnie rozmaite wątpliwości.

Chodzi o przywołanie przez Nią usłyszanego niedawno stwierdzenia: „Kto dzisiaj czyta książki?”, i wynikającą z tego obawę, że „Zaprzestanie czytania, czy też scedowanie czytania na tych, co streszczają lektury w Internecie zubaża... [i] pustoszy wewnątrz”. Widzę w tym zarówno zbyt optywizm oceny stanu obecnego, jak też zbyt pesymizm odnośnie do przyszłości.

Dla mnie czytanie książek jest najważniejszą rozrywką umysłową, chociaż częste lektury wykraczające poza obowiązki zawodowe nieuchronnie wpływają na intensywność mojej pracy naukowej, bo pochłaniają sporo czasu. Przyjemność mierzenia się z przemyśleniami innych ludzi rekompensuje jednak wszelkie wątpliwości. Częścią tej przyjemności jest fizyczne obcowanie z książką papierową, co skutkuje zagraniem mieszkania rosnącymi stertami zadrukowanego papieru.

Nie podzielam jednak wybrzmiewającego w tekście Magdaleny Bajer optymizmu odnośnie do przyszłości czytelnictwa. Patrząc trzeźwo na otaczający mnie świat, uważam pesymistycznie, że oboje należymy do może ostatnich generacji regularnych czytaczy książek. Nie chodzi mi tylko o coraz bardziej „przestarzałe” wydawnictwa papierowe, ale w ogóle o skłonność do czytania długich tekstów.

My z żoną podstępem zadbałszy, żeby nasze dzieci (dzisiaj już bardzo dorosłe) czytały książki, ograniczając im dostęp do domowego komputera tylko do weekendów. Oczywiście miały o to pretensje, ale wypełniały czas, sięgając do zasobów domowej biblioteki, uzupełnianych ukierunkowanymi na nich zakupami. To swoiście wymuszone czytelnictwo stało się trwającym do dzisiaj nawykiem,

wspomagany wymianami się w rodzinie co ciekawszymi pozycjami wydawniczymi.

Obserwując kolejną generację, którą reprezentują dla mnie studenci, mający potencjalnie tworzyć elitę kulturową, widzę postępujący brak zainteresowania książkami, a nawet wszelkimi tekstami dłuższymi niż kilka (naście) stron. Korzystając cały czas z poporcjowanych wiadomości dostarczanych przez internetowe megabazy informacji, nie potrafią już skupić swojej uwagi na dłuższej narracji, która wymaga pewnej dyscypliny czasowej i cierpliwości umysłowej. Zniechęca ich już sam widok książek papierowych, tym bardziej że aktualna moda każe pisać cegły wielosetstronicowe.

Następna generacja to moi wnukowie licealiści, czytający książki z obowiązku, tj. głównie niezbędne lektury szkolne, którymi trudno im się fascynować, co rozumiem, bo pamiętam swoją niechęć do tych samych lektur z czasów, kiedy byłem w ich wieku. Czasem sięgną po coś innego, czym się ochoczo chwają, ale swoją wizję świata budują przede wszystkim na niemal stałej obecności w multimedialnej infosferze.

Mimo osobistego żalu o nieodwracalność tej sytuacji nie podzielam jednak obaw Magdaleny Bajer, że świat bez książek generalnie „pustoszy wewnątrz”. Młodzi ludzie zanurzeni w „on-life” zachowują przecież fundamentalne wartości naszej cywilizacji i nie widać realnej perspektywy jej upadku. Ich świat będzie po prostu inny od tego, który budowali ich poprzednicy. Intergeneracyjna sztafeta zmian wszak do znudzenia powtarzała się w przeszłości i świat się od tego nie zawalił. Istotną różnicę stanowi natomiast tempo zmian, których jesteśmy świadkami.

Zatem w przeciwieństwie do Magdaleny Bajer nie widzę optymistycznej przyszłości dla książek (szczególnie tych drukowanych na papierze), ale też nie podzielam obaw odnośnie do mającej z tego wynikać katastrofy intelektualnej.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Institut Archeologii i Etnologii PAN
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego

W dniu 15 czerwca Walne Zgromadzenie PAU uchwaliło Apel do Sejmu RP, który zamieszczamy poniżej.

Redakcja

* * *

Polska Akademia Umiejętności zwraca się do Sejmu Rzeczypospolitej o ustanowienie dnia 4 czerwca świętem państwowym oraz dniem wolnym od pracy

W dniu 24 maja 2013 roku Sejm ustanowił 4 czerwca **Dniem Wolności i Praw Obywatelskich**, stwierdzając:

4 czerwca 1989 r. odbyły się pierwsze w powojennej historii Polski częściowo wolne wybory do Sejmu oraz całkowicie wolne wybory do Senatu. Było to symboliczne zwycięstwo kolejnych pokoleń Polaków, którzy nigdy nie pogodzili się ze zniewoleniem. Było to zwycięstwo „Solidarności”, przeciwko której w grudniu 1981 r. władza wystąpiła czołgi, chcąc siłą złamać narodowego ducha wolności. Wynik tego głosowania zapoczątkował proces uwalniania się Europy od komunizmu.

W powszechnym odczuciu, zwycięstwo w wyborach 4 czerwca 1989 roku stało się symbolem ponownego odzyskania niepodległości po klęsce września 1939 i powojennym zniewoleniu. Było kulminacją wieloletnich zmagani Polaków, zjednoczonych w walce z komunistyczną dyktaturą. Nadanie 4 czerwca rangi święta narodowego, równie ważnego jak 3 maja i 11 listopada, podkreśli znaczenie tego historycznego osiągnięcia i zapobiegnie jego zacieraniu się w świadomości młodych pokoleń, urodzonych już w niepodległej Rzeczypospolitej.

Apelujemy o jak najszybsze podjęcie prac i uchwalenie odpowiedniej ustawy.

Jeszcze o habilitacji

Chciałem się włączyć w dyskusję o habilitacji, ale dotąd nie śmiałem. Głównie dlatego, że właściwie wszyscy dyskutanci (może – prawie wszyscy) byli bardzo przekonujący. Zgadzam się, że doktoraty bywają słabe, że twórczy, zdolny i pracowity „naukowiec” może przygotować rozprawę uznaną (?) przez recenzentów za zasługującą na ten stopień naukowy bez szkody dla swojego rozwoju naukowego, a z pożytkiem dla swojej kariery. Że taka rozprawa (czy monografia, lub zespół połączonych tematycznie publikacji), a w przypadku humanistów – książka, to pierwsze samodzielne dzieło autora, wskazujące na jego przygotowanie do skupienia wokół siebie uczniów, do promowania doktorów itp. – to wszystko prawda. Ale w dotychczasowej dyskusji pisze się o habilitacji głównie jako o sposobie wykazania (w tej rozprawie, książce czy zbiorze publikacji) wiedzy autora w wąsko zwykle wybranej specjalności naukowej, a nie o jego przygotowaniu do zawodu „profesora”, czyli nauczyciela akademickiego. Dla mnie (może z powodu mojego doświadczenia sprzed 53 lat) – słowo „habilitacja” oznaczało przede wszystkim kolokwium habilitacyjne i wykład habilitacyjny. Kolokwium – które miało wykazać wiedzę kandydata w szerokim zakresie jego dyscypliny (poza tematyką jego rozprawy, w której zwykle był lepiej zorientowany niż gremium go oceniające), a – jak było w moim przypadku – w zakresie dyscypliny lub dyscyplin reprezentowanych przez osoby tworzące to gremium. Moja rozprawa dotyczyła geofizyki jądrowej, czyli wykorzystania fizyki jądrowej w laboratoryjnych i terenowych badaniach geologicznych, a Rada Wydziału mnie egzaminująca i obecni na sali zaproszeni recenzenci to byli geolodzy, geofizycy i fizycy. A więc pytania do mnie dotyczyły między innymi formacji killas w Kornwalli (w tych skałach oznaczalem zawartość wolframu, cyny i cynku), powiązania perydotytu – w którym oznaczalem śladowe zawartości skandiu, ze złożami platyny, zastosowania efektu Mössbauera w badaniach karkonoskich złóż cyny itd. A przed kolokwium musiałem przewertować podręczniki geofizyki poszukiwawczej (np. dotyczące dawno zapomnianych i nadal tajemniczych dla mnie metod magneto-tellurycznych). Musiałem też znać

tematykę rozpraw habilitacyjnych przedstawionych ostatnio przez „moją” Radę Wydziału. Kolokwium trwało dwie godziny, a satysfakcja po pomyślnym jego zaliczeniu przewyższała satysfakcję z pozytywnej oceny recenzentów, dopuszczających publikację do renomowanego czasopiśma naukowego. Z okresu kiedy sam jako dziekan (Wydziału Fizyki) przewodniczyłem takim posiedzeniom pamiętam, że rutynowym pytaniem stawianym kandydatom była tematyka prac nagrodzonych ostatnimi Nagrodami Nobla z fizyki. Równie ważny był wykład habilitacyjny, o tematyce wybranej drogą głosowania spośród trzech proponowanych przez kandydata. Oczywiście – podobnie jak pytania na kolokwium – wskazany temat nie mógł dotyczyć zagadnień objętych rozprawą habilitacyjną. Uważam, że pozytywne przejście takiego „sprawdzianu” – kolokwium i wykładu habilitacyjnego – jest lepszym potwierdzeniem przygotowania kandydata/kandydatki do funkcji docenta – nauczyciela akademickiego w reprezentowanej przez niego dziedzinie. Jednocześnie nie uniemożliwia czy nawet nie utrudnia mu/jej rozwoju naukowego prowadzącego do Nagrody Nobla. A czy to ma być proces obowiązujący wszystkich ambitnych doktorów, planujących ubieganie się w przyszłości o profesurę? Chyba nie. Podam tu jeden przykład – po moim kolokwium habilitacyjnym wiozłem swoim samochodem do restauracji na zwyczajowy obiad moich recenzentów. Same „sławy”, członkowie PAN, wybitni profesorowie. Ale żaden z nich nie miał stopnia doktora habilitowanego, za „ich czasów” stopień ten nie istniał!

Użyłem wyżej słowa „docent”. Pamiętam czasy „docentów z ustępu”, mianowanych za zasługi pozanaukowe. Ale czemu nie wrócono do tego pięknego (i istotnego znaczeniowo) tytułu w odniesieniu do „doktorów habilitowanych”? Tak samo zresztą nie rozumiem istnienia stanowiska „profesora” w jednostkach czysto badawczych, nieparających się żadną dydaktyką. Chyba, że jak to jest często w instytucjach badawczych w świecie, osoby zajmujące te stanowiska poza pracą w danym instytucie prowadzą jednocześnie „oficjalnie” wykłady (czy też mają doktorantów) na jakiejś wyższej uczelni.

JERZY NIEWODNICZAŃSKI

Akademia Górniczo-Hutnicza
profesor emeritus

Polemika

W nawiązaniu do tekstu *Kilka myśli w 35. rocznicę powołania Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”* (PAUza 689) osoba autora – ówczesnego rzeczownika prasowego tego gremium, Adama Szostkiewicza skłania mnie jako sekretarza Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Przemyślu do zabrania głosu. Warto zauważyć, że chodzi tu o działalność na terenie dawnych województw krakowskiego i przemyskiego. Redaktor Szostkiewicz widzi datę 15 października jako kontynuację zwycięstwa odniesionego 4 czerwca 35 lat temu. Jednak istnienie obecnie diametralnej różnicy poglądów niedzisiejszych działaczy Komitetów Obywatelskich może skłaniać do polemiki z tą tezą. Przypomnę, że 4 czerwca byliśmy zjednoczeni i na dobrą sprawę to red. Szostkiewicz mógł zostać rzecznikiem prasowym w Przemyślu, gdy dwa miesiące przed 4 czerwca 1989 r. uczestniczył w spotkaniu miejscowego komitetu. W czasach pierwszej „Solidarności” był rzecznikiem Zarządu Regionu „S” w Przemyślu. Nie są to całkiem nieuzasadnione przypuszczenia, gdyż pamiętamy także to, że był także pierwszym tłumaczem na język polski publikacji Hannah Arendt *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, wydanej przez Znak w 1987 r.

Moim zdaniem, ważnym momentem i mądrością ówczesnych Komitetów Obywatelskich „Solidarność” było ich rozwiązanie na szczeblu krajowym i wojewódzkim, by dwa lata później zawiązywać je ponownie do wyborów samorządowych, czyli poważnie potraktować te organizacje jako komitety tylko do celów wyborczych.

Pozwalam sobie na koniec przypomnieć, że wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych czy samorządowych w aktualnym województwie podkarpackim (dawne województwa: tarnobrzeskie, rzeszowskie, krośnieńskie i przemyskie) bardzo daleko odbiegają od tych w innych województwach; może stąd także te obecne różnice zdań.

Jeśli pamięć o wyborach z 4 czerwca 1989 sprowadzimy tylko do rozstawienia na terenie kraju – choćby dwa ronda, aleja i tablica na dawnej kawiarni „Niespodzianka” w Warszawie – to w Przemyślu na obecnym barze rybnym tuż przy dworcu kolejowym, dawnej siedzibie Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, nie było dotąd woli upamiętnienia, np. tablicą, tego wydarzenia. Świadczy to niewątpliwie o różnym postrzeganiu wydarzeń sprzed 35 lat, a także interpretowaniu ich w sposób nieuprawniony.

WALDEMAR WIGLUSZ

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu

Krótki głos o habilitacji: quo vadis?

Wiele już w PAUzie napisano o habilitacji. Jedna rzecz wydaje się oczywista: habilitacja może być dobrowolnym etapem lub punktem rozwoju naukowego, lub koniecznym (proceduralnym) czynnikiem kształtowania kariery naukowej. Może też być postrzegana jako dość dowolna mieszanina obu tych podejść. Na tym polega nasz dylemat. Mój kolega na Wydziale Zoologii Uniwersytetu Kapsztadzkiego, Prof. Alec Brown, zrobił habilitację, choć absolutnie nie była ona warunkiem jakiegokolwiek administracyjnego postępu w karierze naukowej. Zrobił to, bo był ciekaw, jak to będzie i do czego to popchnie jego działania naukowe. I powiedział mi, że przyniosło mu to wielką korzyść: oto zebrał nareszcie swoje prace mające pewien wspólny wątek, przemyślał jeszcze raz ten wątek i napisał pracę sumaryczną, przewodnią. Ja po zrobieniu habilitacji dostałem bardzo znaczną nagrodę pieniężną od mego Instytutu, choć absolutnie formalnie mi się nie należała. Nadto podniosło to w sposób zauważalny mój prestiż wśród kolegów (specjalnie pocho-

dzących z Niemiec, gdzie habilitacja od czasów średnio-wiecznych jest na święczniku). Mój „zysk” po zrobieniu habilitacji (w środowisku, gdzie jest ona postrzegana raczej jako dziwactwo lub/i przeżytek) był więc wielki, wymierny i dostrzegalny.

Jakie więc wnioski można sformułować dla nauki polskiej? Nasuwają się trzy: **1.** Habilitacja nie powinna być czynnym przymusem, punktozą, mieczem damoklesowym. Habilitacja jako warunek administracyjny powinna zniknąć, tak jak to się stało w świecie nauki anglosaskiej. **2.** Habilitacja jednak powinna istnieć, być czynnie popierana i promowana, a przed potencjalnym habilitantem powinno dyndać kilka dorodnych marchewek, nie jako przymus, a raczej jako wynik, gdyż popycha to naukę do przodu. **3.** Diabeł tkwi w marchewkach: CO potencjalny habilitant mógłby otrzymać w nagrodę za wszak poważne trudy? I w jakim stopniu powinien lub musi być zobligowany dawca owych marchewek (a raczej „POWINIEN”, niż „musi”)? I tego mogłaby dotyczyć nasza nietatwa debata. Warto.

MAREK LIPIŃSKI

Rhodes University
Republika Południowej Afryki

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.
Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.